

Przemoc symboliczna nie jest tym samym, co dogmatyzm. Dogmatyk ob- staje przy swoim zdaniu i cały wysiłek wkłada w obalanie kontrargumentów. Nie odbiera jednak przeciwnikowi samej możliwości ich wygłoszenia. Przemoc symboliczna to właśnie czyni: głos opozycji staje się śmieszny. Lecz, jak to pokazała sama Arendt, przemoc – również ta symboliczna – zawsze prowadzi do aporii, niszcząc władzę, która była jej pożywką, czy to władzę polityczną, czy władzę związaną z myśleniem i naukowym dociekaniem. Niszcząc swoje podstawy, przemoc ma już przed sobą tylko nicość, tylko nicością rozporządza i czyni to w imię nicości. Arendt ma rację: przemoc ostatecznie anuluje sama

siebie. Niestety, w kwestii interpretacji kwestii Eichmanna filozofka w dużej mierze sama przyczyniła się do uruchomienia symbolicznej przemocy. Myśliciel pragnie sojuszników, lecz powinien być zaniepokojony, jeśli ma ich zbyt wielu. W latach sześćdziesiątych Hannah Arendt zmagiła się z krytyką i osamotnieniem, lecz paradoksalnie późniejsza sława była gorsza – zbyt wielu stanęło po jej stronie.

Przemoc symboliczna niszczy samą zdolność do osądu. Wszelki osąd: moralny, polityczny czy choćby ekonomiczny, jest skomplikowaną strukturą, która wymaga bogatego słownictwa, wielu pojęciowych rozróżnień, wielu pomocniczych prawd. Przesunięcie dyskursywnych zasobów za sprawą przemocy symbolicznej sprawia, że osąd pozbawiony zostaje fundamentalnej dla siebie symetrii między racją a przeciw-racją – dlatego staje się niemożliwy. Czytelnik znajdzie bez trudu przykłady wśród dzisiejszych praktyk dyskursywnych, które realizują scenariusz przemocy symbolicznej. Nasza niezdolność do rozliczenia komunizmu we wschodniej Europie jest w dużej mierze wynikiem takiej przemocy. Niepostrzeżenie wszystkie godne szacunku treści zostały retorycznie powiązane z pewną postawą skoncentrowaną na obietnicy przyszłości. Postawa ta czyni wszelki osąd przeszłości niemożliwym, naiwnym, a co do zakresu raczej akademickim; tego rodzaju osąd ma jakąś treść, lecz nie ma normatywnych skutków. Podstawą wspólnoty politycznej staje się powstrzymanie się od osądu, a nie praca nad osądem sprawiedliwym. Takie słowa, jak „dekomunizacja” czy „lustracja”, zostały odesłane do krainy naiwności. Rzecznicy osądu przeszłości, który miałby terazniejszy sens i konsekwencje dla postępowania, nie mają już dziś do dyspozycji żadnych środków dyskursywnych.

Czy to możliwe, by podjęty przez Arendt wysiłek związania przemocy z odmową myślenia, przyczynił się do nowej, tym razem symbolicznej przemocy? Wzdragamy się przed takim wnioskiem przez wielki i zasłużony szacunek dla autorki. Zarzut taki jest czymś niezwykle przykrym dla pokolenia, które w latach osiemdziesiątych tu, na wschodzie Europy, miało w Arendt wielkiego sprzymierzeńca w walce z komunizmem. Wszyscy jesteśmy dłużnikami autorki *Źródeł totalitaryzmu*, nauczyliśmy się od niej dostrzegać strukturalne aspekty przemocy, konstrukcję władzy, która niszczy własne podstawy, prowadząc do niewoli i masowej śmierci. Nic nie jest w stanie unieważnić tych odkryć. Cała myślowa konstrukcja Arendt natrafiła jednak w roku 1961 na pozornie nieznaczną przeszkodę, na pewne indywiduum: Adolfa Eichmanna. Im więcej prawdy jest we wcześniejszych diagnozach Arendt na temat władzy i totalitaryzmu, tym mniej możliwe staje się powiązanie ludobójstwa z indywidualnym podmiotem moralnym. Mądrość, jaką zawdzięczamy Arendt, obróciła się niepostrzeżenie przeciwko nam samym. Jeśli bowiem przemoc jest strukturalna, to jedynie kreatywna i polityczna ucieczka z danego systemu (a więc postawa perspektywna) może nas uratować; myślenie i wola są tu atrybutami

kluczowymi. Zgodnie ze znakomitymi analizami Arendt zawartymi w jej niedokończonej trylogii o życiu umysłu, myślenie i wola wyzwalały działanie spod władzy konieczności, torując mu drogę do nowego początku. W jej koncepcji myślenia położone zostały filozoficzne podwaliny pod perspektywne rozumienie działania. Jej skutkiem ubocznym stało się jednak zmniejszenie zdolności do osądu.